

BAŁAMUT.

TRZY WIECZORY NA WSI.

Gdy zaś zima jasne wody

Odmieni w nietrwałe lody,

A śnieg spuści z nieba biały

Na lasy góry y skały,

W ten czas

. . . jechać w drogę.

ANDRZ. ZAYLITOWSKI.

I.

Kończy się październik. Słońce wstaje przed ósmą, a idzie spać po czwartej. Śnieg pada. I ja na wsi. — Symfonisto! Skaż mi do *rozwalnych* sanek zaprządź matrosa ze żmudzinkiem. — A! przecież mój pan pojedzie! — Alboż co? — Tak sobie: ja to mówię, że pan sobie nieco przejeździ się; bo to mnie żal kości przejmuje, patrząc jak pan sobie wszystko siedzi i siedzi nad książkami. — Cóż stąd złego? mój kochany Wawilo! — Oj że źle, to źle! Obejrź się pan na sąsiadów: któryż z nich trzyma się rzemiosła *liternika*?² Jeden, panie, trudni się gospodarstwem: daje rozkazy ekonomom, odprawia i przyjmuje klucznicę, baraszkuje z posesorem karczmy o politycznych i niepolitycznych awanturach całej parafii; drugi, panie, gra w karty, zagląda często w kieliszek, a czasem i w lampę; zna się na pięknych dziewczętach, i z tłumem się gości zabawia. Ten poluje i w swoich i po cudzych kniejach, utrzymuje potemu grackie sobaki; te skowyczą; pan ich galopuje na siodle, a słudzy skaczą piechotą. Ów, puściwszy uszy między ludzi, jeździ od komina do komina, rozwozi gazety, przycina starym aż mu zęby piszczą, do młodych się umizga. Tamten na urządzie sędzi, rozsądza, przysądza, odsądza, zasądza i przesądza. Inny . . . ale co mnie do innych! Dość że każdy sobie żyje jakoś z ludźmi, bawi się z nimi, i czuje że żyje sobie. A pan co?.... jak to powiadają, ni Bogu świeczki ni czartu ożoga! Tylko sobie coś zawsze czyta, coś sobie gryzmoli. Jużby czas przestać tej próżnej mozoly, a chwycić się czegoś lepszego. Możeby się i żonka

uczciwa znalazła, i goścy się jeden i drugi nawinęła. Byłoby, szkoda mówić, i panu przyjemniej, i nam sługusom weselej.

— Przemięła pora, mój bracie Symfonisto! po niewodzie ryby nie łowić! Sam widziałeś, jak się zaczęło robić, jak się robiło, i jak się zrobiło wszystko.

— Prawda, panie wielmożny! patrzałem i dziwiłem się złości. Wszelako «ludzie nie Tatarzy, chleba dadzą» powiada nasze proste przysłowie. Tylko niech pan dłużej nie czeka, aż samo słońce wzejdzie, bo mu rosa oczy wygryzie. Trzeba się imać czego niebądź. . .

— Nie źle rezonujesz, mój Safandulo! Przywiązanie twoje ku mnie nie zna granic. Co mówisz, mówisz zawsze otwarcie, bo ze szczerzego serca. Ale ci już powiedział, iż twoje rady są po niewczasie: że mi się nic nie rymuje.

— Nie takto i późno, jak się panu zdaje. Wszakże panu jeszcze się nie skończył roczek pięćdziesiąty? Jeszcze i włosy nie wszystkie poleniały. A do tego trzymasz się pan prosto, chodzisz bez gzyzaków; jadasz, niebu dzięki, obiad i wieszczę regularnie, tylko, że wódki nie pijasz: i to mu może i szkodzi! W głowie zaś u pana, jak nakładzono: szkoda mówić, by tyle w kieszeni! Przyznam się panu, że i ja, choć nie liternik, lubię jednak czasem kiedy pan czytasz jaką książkę głośno. Słuchając często się bardzo uśmieję, a częściej ramiona wzniosę i zamilknę.

— Bynajmniej się temu nie dziwię, mój Wawilo! bo też u nas napisano:

«Dobroć moralnej igraszki

Nie przejdzie przez grube czaszki.»

Nie każdą xięgę, a nawet i w jednej nie każde miejsce, możesz rozumieć. Książki, mój bracie, drukują się tylko dla uczonych! Djabełby kazał komu pisać tak, iżby go nawet lokaje pojmwali. Czembymy się od was wręście różnili? Ty nie wiesz, że jak ludzie od zwierząt różnią się mową, tak pisarze od czytelników rozumem, a ci ostatni między sobą pojęciem. Tobie się zdaje, iż kiedy *n.p.* dwóch dorwie się jakiego szczęśliwego autora, to jeden z

nich będzie go rozumiał tak, jak drugi? O! nie. Dzieło najlepsze powinno być podobne do xiężyca, o którym pisze Kant w antropologii, że kiedy jeden na nim widzi Kaina niosącego na swych barkach Abla, to w tym samym czasie diad widzi bez powrozów dzwonicę, a kochanek sylwetkę swej lubownicy w ramkach!

— Cha! cha! o co to, to dalibóg pan istną prawdę powiedział. Mnie samemu, jakem raz z austeryi zmrokiem powracał, gdzieśmy się, szkoda mówić, nie źle zabawili, trafił się szczególny przypadek. Idę sobie drożyną pokrzywioną prosto do dworu, razem ze mną idą kuchcik Ławrus i Trofim stajenny; gdy w tém ni stąd ni zowąd, ja sobie, kuchcik sobie, a stajenny sobie drapes w nogi. Cóż pan powiesz! jakeśmy się już zesli do piekarni, pytamy się wzajem co tam takiego było? Ławrus powiada, że to był kucharz z długim trzonkiem, Trofim, że to ciwun szukający swej żony, a ja utrzymywałem, że to ekonom. Przespaliśmy noc szczęśliwie, i dopiero rano o świcie poszliśmy znowu na tamto miejsce, i ujrzelśmy... i cóż?... osmalony pień duży, a na nim pantofel żydowski! Do pieroż to śmiechu do zdechu!...!

— O! dudo, dudo! przywidzenie było jedynie skutkiem waszej rozegrzanej imaginacyi!

— Gdzież ta, panie, manjacya siedzi?

— Zwyczajnie w głowie?

— A! prawda, żeśmy wszyscy trzej czuli ciepło w głowie, choćto już dobrze było po zachodzie słońca. No, niechże mi pan teraz powie, czemu też ekonomowej naszej ciągle się zdaje, że jej mąż nie kocha? Ona nieboraczka skarżyła się nań nieraz przed pisarzem browarnym; niedawno nawet przedemną szlochała? —

(*Wchodzi pani ekonomowa z napiętą szyją, dyga trzy razy; na prawo, na lewo, i środkiem.*)

— Jak się masz dobrodziejko! coż tam słyhać? Czyś wiele macie kapłonów? — Niczego; lecz mi coś one nie tyją. — Jakże idą motki? — Wybornie. — Kucharz się skarży, że mu czasem jej nie wystarcza. — Wybrydza, panie! kur, niech zdrów będzie, mamy dosyć. Nie wadziłoby tylko ze dwóch kogutów przykupić. — Słyszałażes, waćpani, o piecach takich, w których się kurczęta same bez kwoki wylęgają? — Tfu! a to, panie świeć co nowego! Cożby kury nasze wówczas robiły? — Kury tymczasem mogłyby sobie chodzić na spacer dla nabrania lepszej tuszy. A jaja pójda swoją drogą i kurczęta już nie będą tyle, jak dawniej, obowiązane swoim matkom za ogrzewanie. Ja to muszę u sie-

bie zaprowadzić, i zobaczysz asindzka, jak wiele się jej ujmie pracy, skoro sztuka na pomoc przyjdzie. — Do woli pańskiej; ale ja i sama lubię koło tego chodzić. I przyznam się panu, że jakoś mam do nich szczęście. — A! powinienem też waćpani powiedzieć, że wysmienitą masz rzepę; jadłem ją dziś na obiedzie: soczysta. (*Tu powtórnie dyga; ale tylko środkiem*) Jakoś mi się udała. — A marchew czy taka? — Nie ze wszystkiem: nieco zamała.

(*Ekonom urządziwszy swoją figurę za drzwiami, przychodzi i luzuje dwie pierwsze osoby.*) — Najniższy, najniższy! dobrześ mi zdrów? — *Ekche!* żyjemy pomalenku. — Wiesz asan o tém, że na rok następny zaprowadzi się u nas wzorowe gospodarstwo. Zamówiłem]w mieście, skąd przyjeżdżam, stosowne ku temu narzędzia. Maszynę do siania zboża bez rąk; maszynę bez wołów i koni do orania i bronowania; maszynę do żęcia bez kobiet i sierpów; maszynę do koszenia bez mężczyzn i grabel; i wiele innych wyualezionych na zaszczyt terażniejszego rolnictwa. U mnie nawet w pokoju będą maszynki do uszesania i golenia, do ucierania nosa, do objaśniania świec, i t. d. Tak mospanie, czas pozbywać się przesądów! — Do czegoż, panie, naszych chłopów obrócimy? — Chłopi! będą na nie patrzeć z założonemi rękami; potem, napatrzywszy się do woli, pójda do karczmy pić wódkę; czyliż bowiem woły i konie mają propinować! — potem rosnać będą sporzej i mnożyć się obficie: A gdy się rozrosną i rozmnożą, zostawisz dzieci na gruncie, resztę wszystkich wyprzedam; bo gospodarstwo pójdzie zawsze swoim porządkiem przez maszyny. Patrz tedy asan, co to za dobrodziejstwo, ów szczęśliwy wynalazek! wszystko robić za pomocą machin. W Ameryce *n p.*, mospanie, wszelkie nawet biura są osadzone maszynami; dość tylko włożyć pióro, same piszą, chociaż nie wiedzą, co piszą. Ale mnie się widzi, że zczasem na drugiej połowie świata urząda i machinalne głowy, które będą myślały, nie wiedząc nawet o tém że myślą, i jak myślą.

— Mnie się zdaje, jasnie panie, że ta *Amarka*, na której pieprz rośnie, utworzy i takie jeszcze maszyny, które będą miały po 3 nogi, po 4 ręce, i cały tułów: które będą mogły chodzić i wszystko robić. Wówczas, jasnie panie, człowiekowi choć do torby i w świat!...

— Podług asana uwagi sprawdziłoby się to, co u nas jeden napisał:

«Gdy się wszystko obracać będzie samą korba: Świat chyba aż na xiężycę pójdzie żebrać z torbą.»

Wszelako wnosić stąd nie należy, aby ludzie kiedyś przestali być potrzebnymi. Będą oni robić maszyny, będą majstrami. I wówczas dopiero nastąpi owe spodziewane porównanie wszelkich stanów, bez różnicy: porównanie, o jakim doczytać się można i w kalendarzach!

— Czy pan dziś pojedzie, czy nie? (wszedłszy na nowo, rzekł na progu lokaj) Konie już oddawna stoją przed gankiem! — Każ ich, mój bracie, puścić na śnieg, niech się trochę wytarzają. Żywiot wszelki potrzebuje swobody. O! dałby Bóg, aby się wózki parowe rozpowszechniły! a jeszcze lepiej napowietrzne balony! — Do czegożby służyły konie? zapytał ekonom? — Konie, odpowiem, rozpuszczone do lasów i na stopy zostałyby zwierzyną dla myślistwa. Wszakże coraz mniej widzieć się dają niedźwiedzie i wilki: pierwsze, jak wiadomo asanu, nastraszone z pułapów drzewa stojącego w owsie, w znacznej liczbie wyzdychały; drugie, choć ostrożne, do ziemiodołów wpadając wyniżały się stryczkami. Zubrów ledwo na zasiew, o turach ani słycho, a mamutów tylko się kosteczki gdzieś niegdzie ukazują. — To już, panie, rzekł lokaj, niech konie odejdą do stajni, bo ja uważam, że pan dzisiaj nie pojedzie. — Być może: tymczasem herbaty niech dadzą i fajkę. (Pauza).

... Otoż, *pyk, pyk*, mówiłem ci o magneście, elektryczności i stosie galwanicznym ze słodkich buraków i gorzkiej rzodkwi, *pyk, pyk*, które, trzeba ci wiedzieć, są powszechnymi działaczami organów człowieka, *pyk, pyk, pyk!* One to wprawują w ruch wszelkie cząstki płynne i zsiadłe organizmu, *pyk, pyk*, i nadają im obrót zupełnie wsteczny jego woli, *pyk, pyk*; słowem reorganizują dawne sprężyny ciała i duszy, *pyk, pyk*, i tworzą nowe, przeciwne chęci i zdrowym zmysłom, *pyk, pyk, puf!* Stąd powstaje pęd wirowy w mózgu i kiszkach, *pyk—pyk pyk—pyk!!* Zgasła! Nałóż mi drugą fajkę; przybierz pościel; spać się kładę.

II.

Wstałem z łóżka o godz. piątej. Dzień był świąteczny. W porze więc zwyczajnej udałem się do kościoła parafjalnego. Nabożeństwo odbyło się z przyzwyczajoną przykładnością. Xiądz proboszcz powiedział nadto kazanie z treści: «Co się zwiąże na ziemi, będzie związane na niebie; a co się rozwiąże na ziemi będzie rozwiązane i na niebie.» Wszystkim się ono podobało i z rzeczy gruntownie wyluszczonej, i z wysłowienia niewymuszonego. Pani starościna jednak chwaliła szczególniej część jego pierwszą, a

pan starosta przyznawał dank części drugiej. Tu też otrzymałem zaprosiny na wieczór do ich domu. Skorośmy się zebrali do salonu, pan starosta, człowiek zwyczajów dawnego świata (przed odkryciem jeszcze Ameryki), prowadzący żywot pod sznur wyciągnięty, strzępionym głosem, potrząsając nauką, obwieścił nas że dziś examen ich dzieci, i że w tym celu raczył nas sprosić, abyśmy pomnożyli liczbę świadków dla popisu gubernera i elewów. Pani starościna, zasznurowawszy jak tłóмок gębę, usiadła z ostrym powonieniem, i świadrem na około spojrziała. A pan gubernier, exemplarz chodzącego słownika, mówiący wielą językami, potknął się naprzód na progu, bo i koń dla tego potyka się że ma cztery nogi, potym już stapał z rejestru, nim stanął na środku sali. Tuż koło niego dwóch synków domu, córeczka i kuzynek. Dalej nieco, z twarzą litografowaną, jegomość pan Stawinoga (metr tańców). Dopiero później, uprządłszy postawę, weszła panna *Madam*, która, nim klektaniem nabiła uszy gardero-bianom, musiała się cokolwiek zatrzymać w swoim pokoju; przerzuciła nas wszystkich okiem, i koło starościnej siadła.

Zaczęły się popisy o godz. 4: z języków francuzkiego i włoskiego; z jeografii, odkryć morskich, żeby dać miejsce czytany podrożom panów kapitanów; z historyi powszechniej; z nauk przyrodzonych, i t. d. Wszystko poszło, jak z płatka. Dzieci mówiły to, co ich nauczono; a gubernier z madamą uczyli to, czego i sami czasem nie umieli, ale śmiało i z większą nad pewność pewnością. Muzyka jednak instrumentalna najlepiej się powiodła, bo w wokalnejszej ośmioletnia panienska zdawała się raczej terlikać aniżeli śpiewać, kiedy nawet i w głosie samej madamy zadzierni się przebijały. A jeśli raczyła grać osobno, wtedy po klawiszach bez litości biła. Nareszcie przystąpiono do deklamacyi

Po długim recytowaniu rozmaitych wierszy francuskich, łacińskich i włoskich, w których doborze gubernier i gubernantka nawzajem sobie i innym przycinali, mały kuzynek zakończył examen następującymi wierszami z *Legacyi Zbaruskiego*:

» W ogromnym tedy siedział niewdzięcznik on czubie,

W sobolej by Lacyper odąwszy się szubie:

Oczy mu świadrem poszły, a twarz magłowana,

Jako w ogniu świeci się miedz polerowana.

Kto widział Radamanta, jako gdy przed piekłem

Dusze sądzi przekłete, wzrokiem toczy wściekłem:

Gęba, y nos, klisterą jakoby rozdęty,

A u rydzy biodry wąs miąższy y pomięty;

Czoło rugi zżymają, y twarz starożytną,

A chropawe jagody piernikiem mu kwitną:»

Dobrze nie zmarł od śmiechu przy mnie będący pan rotmistrz, który mi na ucho poszepnął, że te ostatnie wiersze stosowały, się od brata starosty, pana miecznika, który podczas swoich imienin nie tylko żadnego nie dał prezentu guwernerowi, ale nadto cierpko go zbużował, a który jak na lichu znajdował się wówczas w marmurkach, pono dla ślinogorza.

O godzinie 6-tej zasiedliśmy do obiadu. Pan miecznik czując chrapkę do p. Petarda (guvern.), przymawiać zaczął domowej edukacji, że w niej łaciny nie uczą. A gdy mu opór kobiety i niektórzy z mężczyzn, jak groblę, stawili, rzucił się, by wezbrana rzeka, na pole starożytności, i wrzaskiem swoim łamiąc przeciwników dowody, okazywał w przykładach zwięzłość, harmoniję i piękność tego języka. — Farafamfa!... zawołał wreszcie, proszę mi *n. p.* powiedzieć, jak połączynie: *prosię nadziewane?* — Różni różnie przekładali, kiedy p. miecznik powtórnie zawołał: coż panowie! krętu wężu, i nic... otoż ja powiem: «*porcus Trojanus!*» Uważcie tedy ichmościo wie, jaka w jednym wyrazie i moc i krasa i rościągłość! Ktoby rozumiał, że to jest *prosię* spod Troi; przepraszam: *Trojanus* wzięte jest szczęśliwie z podobieństwa konia trojańskiego, u Wirgiliusza. Widzicie tedy mościpanowie co tu zaraz erudycy i historyi z dziesięcioletniej wojny na pomoc przychodzi uczącemu. Jakaż przytym harmonija! rzeknie dalej nasz miecznik: dość będzie gdy przypomnę jeden wiersh następnny:

«*Quadrupedante putrem sonitu quatit ungula campum.*»

— A pfe! odezwała się starościna: mój kochany braciszku, jakże nie pięknie i *puder* i *gula* i *kapie*... Tu pan starosta sfałdował czoło, bo był upudrowany, miał gulę dość sporą i tabaki brał zawiele. Madam zaś powtarzając i *kapie*, przydała: i *pedant*, chcąc przypiec trochę Petardowi, który na to odchrząknął tylko trzy razy. — Fiu, bziu! moja pani, odparł miecznik, nic tu sidłu widłu, nie pomoże! trzeba umieć język. Terefere! to nie kądziel, żeby się tak łatwo dało poznać. Nas on kosztował dziesięć lat krwawej pracy! —

Rzęsiste wivaty przerwały dalszą nie hucznej rozmowy. Gospodarz wyglębiał z kielicha zdrowie szanownych gości, szanowni goście nie skąpili lat długich państwu starostwu, starościcom, starościance,

pannie madamie, guwernerowi, i t d i t. d. Zagęściły się więc kieliszki i jak łątki wysmukłe, i jak pniaki duplaste, i jak podsędkki baryłkowate, i jak gębusie adwokatów lejkowate. Bo to był dóm zamożny, a dziedzic jego foremnie krystalizowany, jaśniewielmożny! Dyskurs tymczasem rozdzielał się na drobne kupki i stawał się coraz bardziej różnorodnym, nim gospodarz, lubiący passyami prawoznastwo, nie zwrócił go ku przestronniejszej uwadze. Ogłosił bowiem za rzecz pewną i żadnej zmianie nie uległą, że kuzyna jego * * * poszła do rozvodu. Na tę wiadomość rostrzelili się oczy starościny na cztery kąty, u madamy nos się przedłużył aż do talerza, panu kasztelanowemu krzesło coś niedopisywało; ale p. miecznik, który na takie bagatele nie zwykł uważać, zaraz się dał słyszeć, iż go to mocno zadziwiła, że pani kuzyna jęła się takiego kroku płamiącego i jej młode lata i jej pierwszy wybór. Szczęśliwsze były czasy, przerwie staroście, u starodawnych! tam nie takto łatwo kapryścić się mogły żony!... i począł obszernie się rozwozić nad trudnościami zrywania związków małżeńskich u rzymian. Przeciwnie, p. rotmistrz dowodził że jeszcze Hieronim widział w Rzymie odprawującego w tryumfie pogrzeb swej dwódziestej piątej żony, która dwódziesięciu dwóch nie tak czerstwych poprzedników jego pogrzebła i że nawet Marcyalis mówi o pewnej niewieście, która dziesięciu mężów w jednym miesiącu miała. Nakoniec rozjechaliśmy się wszyscy pod styxowem zakłębciem najczulszej przyjaźni, przy odgłosie korkowym 12 butelek szampana.

Skorom przybył do własnego mieszkania, lokaj mój mało z radości na dach nie wskoczył, gdy mnie na wpół pjanego zobaczył. Rozumiał bowiem że już musiały się zarękowiny dopełnić i przedugodny traktat obrączkowego handlu podpisać. Życzył mi tedy, w szeregu sążnistych lat, przy gorętszej cyrkulacyi krwi, obfitego potomstwa i synogarliczego pożycia. A że wśród tego głowa moja, przeciążona napojem, niebacznie podała się naprzód, szczery stługus, biorąc to za znak podziękowania, tym mocniej ugruntował się w nieomylności swoich powinszowan, zwłaszcza, że i humor mój wesoły i uśmiech po całej twarzy rozlany i język nieco zaniemiały, utwierdzać go silniej w jego domysłach zdawały się. Rozstaliśmy się z sobą jak Pilades i Orestes.

(*dok. nast.*)